

Jacek Koronacki

Proizraelskie lobby w USA

Nasze spojrzenie na rolę proizraelskiego lobby w kreowaniu polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych jest skażone powierzchownymi i w istocie nietrafnymi ocenami.

Zanim spojrzymy na to lobby, należy skupić się na politycznym i społecznym klimacie obecnym w USA przynajmniej od ostatniej dekady XX wieku.

Kierownictwo formalnie utworzonej w 1989 roku Chrześcijańskiej Koalicji – organizacji zrzeszającej baptystów (50% członków), wiernych głównych Kościołów protestanckich (25%), katolików (16%), zielonoświątkowców (10-15%) oraz wiernych mniejszych Kościołów – od początku było przeciwne powstaniu państwa palestyńskiego. W roku 2002 dla jej przewodniczącej Roberty Combs, sprawa była prosta: Palestyńczycy równało się terroryści. Combs mówiła: „Izrael nie może negocjować z terroryzmem. Terroryzm nie może być nagrodzony utworzeniem państwa. Dziś i w przyszłości powstanie państwa palestyńskiego oznaczałoby koniec Izraela. [...] Możesz mieć Izrael albo możesz mieć Palestynę, ale nie możesz mieć obydwu państw”. Podstawowym celem Koalicji była walka z promowaniem i legalizacją moralnej degeneracji narodu amerykańskiego. Ale też częścią jej misji było działanie na rzecz bezpieczeństwa Izraela.

W październiku 2002 Chrześcijańska Koalicja zorganizowała przed Białym Domem wiec solidarności z Izraelem. Na wiecu wystąpiło kilkunastu znanych lub bardzo znanych członków Kongresu, w tym ówczesny przewodniczący republikańskiej większości w Izbie Reprezentantów, związany z protestancką prawicą, Tom DeLay, który powiedział: „Byłem na płaskowyżu Masada. Przebyłem Judeę i Samarię. Chodziłem ulicami Jerozolimy i stałem na wzgórzach Golan. I wiecie co? Nie widziałem żadnych okupowanych terytoriów. To co zobaczyłem, to był Izrael!”

Poparcie dla Izraela wśród prawicowych protestantów było bardzo szerokie zanim jeszcze chrześcijańska prawica pojawiła się na amerykańskiej scenie politycznej jako niezależna siła. Poparcie to ma u swoich podstaw charakter teologiczny (jakby nie był pomyłony zdaniem innych chrześcijan – katolików, wielu luteranów, prezbiterian, anglikanów). Fundament ten był obecny w Ameryce, gdy jeszcze o państwie izraelskim nikomu się nie śniło i jest obecny nadal.

Według szerokiego odłamu XIX- i XX-wiecznych protestantów, Boży plan eschatologiczny wymaga obecności państwa Izrael na Ziemi Świętej. Zgodnie z ich odczytaniem Apokalipsy św. Jana, w eschatologicznej bitwie w Har-Magedon (Armagedon, Ap. 16.16) Izrael, bliski ostatecznej klęski z ręki Antychrysta, przejrzy i zobaczy Chrystusa wracającego na ziemię wraz z wcześniej wniebowziętymi sprawiedliwymi (chrześcijanami), którzy pod wodzą Pana pokonają wrogów Izraela. Odtąd Jezus będzie rządzić światem przez tysiąc lat, tu na ziemi, mając za stolicę Jerozolimę. I dopiero po milenium Królestwa Bożego na ziemi pod rządami Jezusa nastąpi Sąd Ostateczny.

Taka eschatologia, zwana premillenaryzmem, jest częścią nurtu teologicznego znanego w Ameryce jako dyspensacjonalizm, wyznawanego głównie przez (nie wszystkich) tzw.

chrześcijan ewangelikalnych i opartego na dosłownym odczytywaniu Pisma Świętego oraz wierze, że w ten sposób – ponieważ Biblia się nie myli – można poprawnie opisać działanie Opatrzności aż do końca świata.

Inaczej niż czyni to biblistyka katolicka i tradycyjna protestancka, teologowie i bibliści wyznający dyspensacjonalizm odrzucają interpretację Pisma Świętego w kontekście historii i z uwzględnieniem specyfiki różnych form literackich. Jednym z kanonów takiej egzegezy jest w rezultacie częste rozumienie słowa Izrael w Biblii jako odnoszącego się do państwa Żydów, a nie do Ludu Bożego i prorocत्व dotyczących czasów ostatecznych. Dla takiego „chrześcijańskiego syjonisty” Izrael Nowego Testamentu to niekiedy Kościół, ale częściej państwo żydowskie z jego terytorium na Ziemi Świętej.

Wedle tej myśli odrodzenie się Izraela w czasach obecnych musiało się ziścić, zaś trwanie tego państwa jest niezbędne, by przejść w czas ostateczny. Izrael ma zostać wówczas zbawiony jako byt odrębny od dzisiejszego Kościoła Chrystusowego.

Nie dziwny się przeto, że dzisiejszy wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, który w czasie studiów opuścił Kościół katolicki by dołączyć do ewangelikalnych syjonistów, jest dziś takim mecenasem Izraela, jakim jest. Wcześniej wspomniany Ton DeLay, który za młodu stracił wiarę, nawrócił się, ale wybrał chrześcijaństwo ewangelikalne w jego syjonistycznej wersji. Niedawno temu stracił posadę doradca prezydenta Trumpa Steve Bannon, też uznawany za tego, który katolicyzm zamienił na ewangelikalizm. Jak to ujął sędziwy Henry Kissinger, konflikt między Jaredem Kushnerem, zięciem i także doradcą Trumpa, oraz Bannonem, który to konflikt zaważył na klęsce Bannona, był konfliktem między żydowskim i nieżydowskim pojmowaniem pro-izraelskiej polityki USA. Wydaje się, że ów konflikt można ująć tak: czy jest się zawsze, jak Kushner, czy tylko niekiedy za polityką postulowaną przez Premiera Izraela Benjamina Netanjahu.

Koalicja Chrześcijańska ma ponad milion członków, ale jej oddziaływanie jest nieporównanie szersze i nie ogranicza się do chrześcijan ewangelikalnych, zwłaszcza gdy mówić o poparciu dla jej działań w obronie moralności i słuchaniu jej rekomendacji wyborczych (czy gdy chodzi o wybory do Kongresu, czy prezydenckie). Chrześcijańską grupą nacisku skupioną ściśle na obronie interesów Izraela jest organizacja Chrześcijańskie Zjednoczeni na Rzecz Izraela (CUFI), założona przez Johna Hagee’ego, pastora protestanckiego – jak to się teraz mówi – megakościoła w San Antonio w Teksasie. Dwa lata temu liczba członków CUFI przekroczyła 2 miliony. Z kolei żydowską grupą nacisku, działającą na rzecz Izraela, jest Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych (AIPAC).

Statystyki dotyczące różnych grup chrześcijan ewangelikalnych pozwalają oceniać, że mniej więcej co szósty członek populacji amerykańskiej jest ewangelikalnym syjonistą. Ale co to ma wspólnego z lobby proizraelskim? Wymienione organizacje stanowią oczywiście grupy nacisku, mają swoich lobbystów w Waszyngtonie, ale nonsensem byłoby je same uznawać za jakieś lobby. Z chrześcijańskimi syjonistami muszą się jednak liczyć wybieralni politycy – ze względu na spójność ich preferencji politycznych – nieporównanie bardziej niż np. z licznymi wyborcami katolickimi, ale rzecz jasna i oni nie są jakimś lobby, lecz są po prostu częścią amerykańskiego społeczeństwa.

Renomowany ośrodek badania opinii publicznej, Pew Research Center, przeprowadził w dniach 10-15 stycznia tego roku ankietę (z udziałem 1503 osób, co daje margines błędu

wielkości 2,9%) i otrzymał takie wyniki: 79% republikańskich wyborców żywi większą sympatię do Izraela niż do Palestyńczyków; wśród wyborców Partii Demokratycznej jest takich osób 27%; 52 % republikanów i 18% demokratów popiera politykę premiera Netanjahu.

Ankieta wyspecjalizowanej agencji Grupy Medialnej Bloomberg, przeprowadzona 6-8 kwietnia 2014 roku na grupie 1008 osób (błąd wyniku plus minus 3,1%), pokazała, że ponad 2/3 wyborców republikańskich uważa, iż politykę Izraela należy popierać nawet wtedy, gdy ta nie odpowiada amerykańskim interesom (to samo dotyczy około 1/3 demokratów). I co równie ciekawe, jeszcze według ankiety Pew Research Center z roku 1978, większą sympatię do Izraela niż do Palestyńczyków żywiło tylko 49% republikanów i aż 44% demokratów.

Co z tego wynika? To, że proizraelskie lobby prawie nie jest dziś Izraelowi potrzebne. Musi dbać o to, by konkretne polityczne działania amerykańskiej administracji ściśle odpowiadały izraelskim preferencjom, ale niewiele więcej. W ostatniej dekadzie XX wieku potrzebne było proizraelskie lobby tzw. neokonserwatystów. Dziś, jakkolwiek neokonserwatystów w rządzie nie ma, ich duch nadal współrządzi amerykańską polityką zagraniczną.

Badacz religijnej historii USA, znakomity amerykański historyk zamieszkały w Polsce i polskiej kulturze pięknie służący, Philip Earl Steele, nieraz przypominał nam w swoich publikacjach, że dalekosiężna polityka Izraela już od lat 1950-tych służyła pogłębianiu współpracy chrześcijańskich syjonistów z Izraelem. Ale obecnie mądrzy izraelscy politycy muszą pochylić się nad innym problemem – jak, nie tracąc republikanów, przyciągnąć do siebie na powrót demokratów. Tym bardziej, że wraz ze zmianą pokoleń i rosnącą liczbą latynoskich imigrantów, udział syjonistów w amerykańskiej populacji będzie zapewne malał.

Druga połowa lat 1980-tych przyniosła najpierw ukryty, a potem jawny konflikt między neokonserwatystami i tradycyjnymi amerykańskimi konserwatystami. Ci drudzy nie byli antysemitami, ale nie byli też bezwarunkowo proizraelscy. Mieli swój poważny udział w politycznym życiu Ameryki, byli obecni wśród doradców prezydenta Ronalda Reagana. A jednak w ciągu kilku lat zostali przez neokonserwatystów wyeliminowani z amerykańskiego „ryнку” myśli politycznej, chyba że się z neokonserwatystami sprzymierzyli. Najczęstszym zarzutem wobec eliminowanych był ich rzekomy antysemityzm. A potem, mówiąc w największym skrócie, neokonserwatyści przenieśli plany przebudowy Bliskiego Wschodu, które wcześniej przedkładali premierowi Netanjahu, do Białego Domu i tak rozpoczęły przebudowę bliskowschodniej strategii USA.

Styczeń 2018

Autor jest profesorem nauk technicznych, dr. hab. nauk matematycznych, publikuje m.in. w tygodniku „Idziemy” i portalu „Teologii Politycznej”.